

Wydaje mi się, że świat jest taki jak człowiek, który na niego patrzy.

Dlatego mój jest bardzo interesujący.

Świecki światowid świata – to właśnie jest rzeczywistość.

Błękitny rogalik

Każdy zna to niesamowicie przyjemne uczucie, kiedy słyszy piosenkę, która zdaje się opowiadać o nim samym. Ta niezwykła, choć pozorną jednością z autorem, świadomość tego, że ktoś przechodził w życiu przez podobne trudy (tak, najczęściej szukamy wsparcia w sytuacjach nieprzyjemnych), odczuwał bliską nam radość. Kochał, lub nienawidził, płakał, śmiał się i tańczył w deszczu. Nie czujemy się wtedy tak bardzo samotni.

Noc była dość ciepła, jednak zdecydowanie nie upalna. Przyjemna. Szum w mojej głowie miał źródła w alkoholu, chociaż nie można było powiedzieć, że byłem zupełnie trzeźwy. Rozedrgany podnieceniem, upojony magią, taki stan kołysał moje serce. Stałem w jej pokoju. Zwlekała z przyjściem, ale cierpliwie znosiłem oczekiwanie. Nacisnąłem mały trójkącik odtwarzacza. Głośniki rozbrzmiały muzyką. To była chwila, w której po raz pierwszy usłyszałem Sinatrę śpiewającego „Blue moon”.

Od początkowych dźwięków wiedziałem, że piosenka jest o mnie. Dużo później odkryłem, że jest to młodsza wersja, taka jak w Fallout New Vegas, jednak słowa niezmiennie niezależnie od wykonania i hipnotyzujący głos rozbrzmiewały pośród czterech ścian czerwonego pokoju. Zdawały się trwać niezależnie od czasu.

O prorocze słowa!

Księżyc zaglądał przez okno. Przeświecał przez niebieską folię, która nieopacznie zawisła na pobliskim drzewie. Wszystko było tak pięknie, surowo oświetlone w jego twardym, pozbawionym chmurnego dyfuzora promieniu.

Stałem zupełnie sam, a on patrzył mi prosto w oczy. Uśmiechał się. Wiedział, że w moim sercu nie ma żadnych marzeń. Po co robić sobie złudne nadzieje, lepiej nie oczekiwać niczego i dać się przyjemnie zaskoczyć. Byłem pusty. Od miłości dzieliło mnie kilka metrów.

Modliłem się o kogoś, kto zechciałby wypełnić moje życie. Prośby zostały wysłuchane. Teraz jedynie pragnąłem szczęścia, prawdziwego, mocnego uczucia, a nie przelotnej znajomości. Czegoś co przetrwa wieki, śladu i pamiętki. Chciałem w pełni skosztować życia, nie przejmować się udawaniem człowieka, którym nie jestem. Pragnąłem ciszy, spokoju i emocji, które nie uykają logice. Potrzebowałem kogoś, kim mógłbym się naprawdę zaopiekować.

Pan był dobry I uśmiechał się księżycem.

Pojawiła się nagle, zwiewna niczym urokliwa zjawa. Sunęła w moim kierunku, szeleszcząc czarną

sukienką. Była bosa. Uśmiechała się tak pięknie, niepewnie. Zaciągnęła zasłony. Światło księżycy zabłyszczało najprawdziwszym złotem.

Wiedziałem, jeszcze zanim wziąłem ją w ramiona, że to właśnie ona będzie tą jedyną, pierwszą i prawdziwą. Gdzieś w głębi siebie bałem się, że nigdy już nie znajdę kogoś takiego. Chciałem czuć całym sobą, widzieć dotykami, słyszeć smakiem, zatonać i nigdy nie wypłynąć.

Pilem słodki nektar jej szeptu.

Słowa były proste i właśnie to stanowiło o ich pięknie. Język rozsiewał żądzę. Sinatra śpiewał, jego głos niósł rozgrzewający chłód.

Blue moon, now I'm no longer alone
Without a dream in my heart
Without a love of my own

Właśnie tak, nie byłem już sam. Jej uśmiech na zawsze pozostanie ze mną.
Reszty ciała nie wyłowię przynajmniej do zimy.

Kulturalny kulturysta

I

Na dworze spadł pierwszy śnieg tej późnej i ciepłej zimy. Miękka, biała warstwa szybko rozpułnęła się zostawiając jedynie szklisty ślad błyszczący w świetle latarni. Nic nie wskazywało na to żeby dzieci nacieszyły się w tym roku sankami czy też lepieniem bałwana.

Kałuże rozpryskiwały się pod jej malutkimi butami zlocąc okolicę deszczem zimnych kropli. Szła wyraźnie podenerwowana. Cóż, w końcu wyrwała się logicznemu myśleniu i robiła coś, co mogło zostać nieprzychylnie odebrane. Tak chyba można opisać cechę, która ludzie klasyfikują jako spontaniczność.

Zatrzymała się na chwile i rozejrzała podejrzliwie. Skręciła w lewo. Po stu metrach odbiła w prawo. Krótka wspinaczka po schodach, tak to sobie przynajmniej tłumaczyła, rozkołatała jej serce. Prawdopodobniejszą przyczyną był jednak strach. Wstrzymała oddech i nacisnęła klawisz dzwonka.

Otworzył jej po chwili, która zdawała się trwać wiecznie. Był zaskoczony. Rękawy eleganckiej koszuli zawinięte miał za łokcie, mokre dłonie wycierał w kuchenny ręcznik. Na przedramieniu nosił rdzawobrunatny zaciek krwi. W pierwszym momencie wydawał się być zmieszany, jednak momentalnie uśmiechnął się i wskazał ruchem głowy aby weszła do środka.

Wciąż milcząc odwiesił jej płaszcz, ona sprezentowała mu butelkę wina. Przytulne mieszkanko, małe i urządzone dość nowocześnie było bardzo ciepłe. Nie tego się spodziewała. Do jej uszu docierała cicha muzyka organowa.

- Bach? – Spytała siląc się na wesołość głosu.

Przytaknął uśmiechając się szeroko. W jego oczach widać było uznanie. Delikatnie wprowadził ją do pokoju. Sześciuosobowy stół zastawiony był odświętnie, choć wyraźnie nie przewidywał gości przy sobie nikogo poza swoim właścicielem. Dodatkowy talerz wraz ze stosowną kompanią został dołożony niezwłocznie. Światło było przygaszone, jedynie kilka świec rzucało wokół kręgi swego migotliwego blasku.

Wskazał na wolne krzesło przy stole a sam udał się do kuchni. Usiadła tak, żeby go dobrze widzieć. Czowała się głupio. Przepełniał ją irracjonalny smutek.

- Jesteś na mnie zły?

- Nie. Po prostu nie spodziewałem się gości. – odparł dziwnie spięty.

- Mogę wyjść...

Odwrócił się i spojrzał na nią bardzo poważnie. Coś pękło między nimi, gdyby nadstawili uszu pewnie zwróciliby uwagę na trzask łamanego lodu. W jego oczach znalazła odpowiedź, która usadowiła ją na miejscu.

- Dobrze wiesz, że nie możesz. Nie przychodzi się ot tak i nie przynosi butelki wina, bardzo dobrego wina... - Jego głos był niski, wyjątkowo przyjemny. Ironiczny uśmiech nie schodził mu z ust.

- Mówiłeś, że nie pijesz!

- Najwyraźniej kłamałem – uśmiechnął się bezczelnie. - Ale wiedza nie musi wynikać z praktyki. Nigdy nie sięgnąłem gwiazd, ale mogę zagwarantować, że są gorące niczym dno piekła. Tam zresztą też nigdy nie byłem. Chociaż dobrze wiesz jak wołają mnie ludzie...

- Kain.

- Jeżeli mogę cię prosić, mów mi po imieniu.

Minutnik zabrzączał zgrzytliwie. Kain podszedł do piekarnika i otworzył jego klapę. Bach przeszedł bez protestu w Dies Irae. Śnieg za oknem po raz drugi podjął beznadziejną próbę zdominowania świata.

Mieszkanie wypełnił zapach pieczonego mięsa.

II

Talerze już dawno opustoszały. Butelka też powoli traciła swoją zawartość. Delikatna, melancholijna linia basowa szeptem sławiła uroki Armenii. Siedzieli zdecydowanie bliżej siebie niż na początku.

- Właściwie czemu tu przyszłaś, Klaro?

Wzruszyła ramionami. Starła się uciec wzrokiem, ręce zajęła do połowy wypełnionym kieliszkiem.

Jednak nie umiała tak po prostu zostawić pytania w próżni, udąć że nie słyszała. Westchnęła przesadnie i zupełnie szczerze odpowiedziała.

- Było mi ciebie żal. Zawsze wykręcasz się kiedy pytamy czy z nami nie wyjdiesz. Wciąż masz inne plany, a to treningi, a to bliżej nieokreślone spotkania. Chciałam, żebyś się rozerwał. Postanowiłam zrobić niespodziankę. I spędzić ten wieczór miło. – dodała nieco ciszej i uniosła do ust kieliszek.

- I byłaś pewnie bardzo ciekawa?

- Mhm?

- Tego jak wygląda prywatność kogoś takiego jak ja. To chyba interesujące a sam jestem dość kiepski w dzieleniu się sobą, czyż nie?

Kain zrezygnował z wygodnego fotela, zamiast tego leniwie usadowił się u jej stóp. Milczała wyraźnie zaczerwieniona. Choć może to tylko świece i wino użyły swych magicznych zdolności.

- Kiedy tu weszłaś, widziałem, że jesteś podenerwowana, nie wiedziałaś czego się spodziewać?

- Właściwie...

Uśmiechnął się. Tym razem utrzymywała kontakt wzrokowy. A jej oczy, trzeba było przyznać, jawnie epatowały niezwykłą mocą, dziwną i niepasującą do skromnej postury. Było w nich coś, co przypominało Kainowi o nim samym. Podobała mu się.

- Z tego czym się dzieje można wysnuć prosty obraz. – zaczął tonem naukowca mówiącego o zagadnieniu tak pasjonującym jak dystalna komponenta kaszlu hipoksyjnego. - Człowiek nieco anachroniczny, niespecjalnie elegancki, o niewiadomym guście muzycznym. Trzy razy w tygodniu chodzi na siłownię, dużo biega, jest pozytywnie zakręconym wariatem. Zapewne ma w domu plakaty z Arnoldem, kilka torebek odżywek. Niespecjalnie ciekawy. Zamknięty w sobie. Co więc cię sprowadza?

- Chęć poznania prawdy...

- Aż tak kiepsko udają?

- Aż tak dobrze obserwuję.

Uśmiechnęła się zawadiacko, chyba pierwszy raz od czasu przekroczenia progu. Odpowiedział jej tym samym. Klepnął puchaty dywan obok siebie. Nagorny Karabach rozplynał się w zapomnieniu.

Siedzieli oparci o siebie. Świece migotały nad ich głowami.

III

Kieliszki stojące w miękkim dywanie nie potrafiły znaleźć stabilnego i zbalansowanego ustawienia, tak więc dla bezpieczeństwa szybko i ochoczo je opróżnili. Milczeli dość długo ciesząc się po prostu swoją obecnością. Wreszcie ciszę przerwało ciche, wibrujące w półmroku pytanie, które zdawało się

kondensować od dłuższego czasu.

- Czemu właściwie wołają cię Kain?

- Nie mam zielonego pojęcia. Ksywka przyłgnęła do mnie, wiele lat temu. Tak się przyjęło, nie przeszkadza mi ona zbytnio.

Klara przygryzła wargę. Mimo jawnej i namacalnej wręcz bliskości czuła nieprzyjemny dystans pomiędzy nią a Kainem. Nie wiedziała czego chce od życia, ale była pewna, że woli być blisko, wiedzieć więcej, czuć nieprzerwaną nić porozumienia.

- Powiedz mi, czemu jesteś tak wycofany? Czego się boisz?

Kain nie zastanawiał się zbyt długo.

- Szczerze? Odpowiedź będzie prosta. Cieszy mnie moje towarzystwo. Twoje jak się okazuje również. Ale jestem typem samotnika. Nie, nie ukrywam żadnych sekretów. Nie gram też nikogo kim nie jestem. Zauważ w jakich okolicznościach się spotykaliśmy.

- Od lat na siłowni, czasem na bieżni, często w lesie... Rowerowe wycieczki...

- Masz dobrą pamięć. Czy to było moje naturalne środowisko? Po części tak, czy byliśmy sami jak teraz? Raczej nie. Nie miałaś okazji zobaczyć prawdziwego mnie. Co widzisz teraz?

- Człowieka, o którym istnieniu nie miałam pojęcia.

Klara pokręciła głową w radosnym niedowierzeniu. Roześmieli się jak na zawołanie, szczerze i wesoło. Chcieli znów napełnić kieliszki, lecz ich pomysł szybko zweryfikowała pusta już butelka. W udawanym smutku odstawili ją z powrotem na stół.

Świece powoli dogasały, tak więc szybko musieli rozpaść nowe. Nie chcieli używać żarówek, było tak pięknie, tak... romantycznie? Zdecydowanie klimatycznie. W poszukiwaniu dodatkowego świecznika Klara zawędrowała aż pod podręczną biblioteczkę.

- Czy mnie oczy mylą, czy to Nietzsche? – spytała celując oskarżającym palcem w kierunku naddartego zębem czasu woluminu. Kain podszedł i pogładził grzbiet książki z lubością.

- Zgadza się. Lubię czytać. Zarówno powieści czysto ludyczne, jak i poważniejsze myśli. Uwielbiam fantastykę, kocham horror. Jeżeli spojrzysz dalej zobaczysz całkiem pokaźną kolekcję gier. Tak, jestem dzieciakiem lubiącym prymitywne zabawki. – parsknął w nieukrywanym rozbawieniu. – Serio, nie uważam żeby odbiegały jakością od dobrej książki czy filmu.

- Kino też lubisz?

- Nie jestem specjalnym miłośnikiem srebrnego ekranu. Rzeczy jak najbardziej klasyczne widziałem, bo wpada je znać. Sam uwielbiam Tarantino. Taka moja mała słabość.

Uśmiechnęła się i odeszła od regału. On w tym czasie zdążył przynieść zarówno świeczki, jak i zapalki. Niczym w Biblijnym cudzie zapanowała Nowa Światłość. Głośniki zaczęły serwować kolejną, spokojną melodię. Klara wyraźnie zasluchana usiadła powrotem na dywanie. Kain po chwili do niej dołączył.

- Powiedz mi co to jest?

- Jeżeli ci przeszkadza, przełączę. - rzucił szybko i chwycił za pilota.

- Nie, nie o to chodzi, to całkiem ładne...

Kain przytaknął wyraźnie rozradowany. Wskazał na długi szereg płyt kompaktowych, ale i winylowych ciągnących się na przeciwległej ścianie.

- Orkiestrowa wersja Fruehling im Paris. Słucham wszystkiego. Od muzyki klasycznej po metal, od aggrotechu po dark ambient, od martial industrialu po reggae. Mógłbym tak w nieskończoność. Lubię muzykę, która nie ma prymitywnego przekazu, nie mam wielkich wymagań.

- A te świece, Bach? Zawsze tak robisz? – zatoczyła dłonią półokrąg, wskazując na stół. Kain zmieszał się wyraźnie.

- Co soboty. Wtedy mam specjalny, rytualny posiłek. Taka drobna fanaberia. Przygotowuję go ze stosownym namaszczeniem, rozpalam świece, puszczam Mozarta, czasem Bacha, zależnie od nastroju. Kultura przede wszystkim. Dbam o dietę, przeliczam kalorie i gramy, dostarczam mojemu organizmowi dokładnie tego czego potrzebuje. I tak rok w rok, nie ma w tym uczucia, jedynie czysta biologia i matematyka. Bilans zysków i strat. Nie chcę utracić przyjemności życia, chcę czerpać radość a to przedstawienie jest ukoronowaniem mojego trudu. Ofiara dla ciała, ale i dla ducha.

Kain obawiał się jej reakcji i cóż, spełniły się czarne scenariusze. Zapanowało nieprzyjemne milczenie, pełne napięcia i tak przerażająco trudne do rozładowania.

- Tak wiem, jestem dziwakiem. – dodał uśmiechając się przepaszająco.

Nastąpiło coś, czego do końca nie potrafił zrozumieć. Zawsze starał się kierować logiką i ocenę emocji również sprowadzał do wyszukiwania przyczyn i skutków. Jednak w tej sekundzie, znów poczuł się zagubiony. Klara przysunęła się jeszcze bliżej, choć zdawało się to niemożliwe.

- Ja tam uważam, że jesteś słodki. – mruknęła i oparła głowę na jego ramieniu.

- Ludzie z reguły bywają słodcy. – szepnął.

Nie czekał dłużej. Objął ją delikatnie i tak trwali, niewzruszeni przemijającym czasem. Jej oczy pozostawały przymknięte. Jego szklily się w blasku świec.

IV

Zimowy świt leniwie wznosił się nad horyzontem.

Jej bose stopy zostawiały kształtne plamy gorąca na zimnej terakocie. Stąpała cicho, ubrana jedynie w narzuconą pospiesznie koszulę. Miała wyjątkową ochotę na mleko.

Otworzyła lodówkę, przesunęła dłoń zapakowaną w folię spożywczą i chwyciła leżącą za nią butelkę. Uśmiechnęła się bezwiednie, tak jak ludzie, którzy nie do końca obudzeni egzystują w świecie sennych marzeń.

Myślał, że nie poznała smaku? Nie domyśliła się? Przecież pachniało jak w domu. Jak u mamy.

Nic nie łączy ludzi tak, jak wspólne zainteresowania.

Popiół

1.

Posłał babę. To doprawdy podłe. Di, ta leniwa bestia wysłużył się nią jak gdyby była jego szpiegiem.

Nie, nie czuła się z tego powodu jakoś przesadnie ukrzywdzona. Abi wypełniała raczej mieszanka podekscytowania i ciekawości. Ileż nowych twarzy! Jakie doborowe towarzystwo. Wprawdzie we wszędobylskiej czerni można było utonąć, ale nieczęsto ma się okazję przebywania z tak niezwykłymi ludźmi!

Abigail zawsze ciągnęło do ponurych świrów. Odnalazła swój raj.

2.

Di nadal milczał. Miał dać znać o której przyjdzie, jednak na próżno czekała jakiegokolwiek sygnału. Parszywiec jeden.

Ludzie zdawali się bawić w najlepsze, oczywiście w swoim, dość osobliwym rozumowaniu imprezowania. Abi wędrowała pomiędzy pokojami, rozglądając się i chciwie ciesząc oczy miłym widokiem. Od czasu do czasu zamieniała dwa zdania, nawiązywała nowe znajomości. Muzyka była raczej głośna, toteż dłuższy dialog często nie wchodził w grę.

Mijając grupę wychudłych młodzieńców, mrocznych niczym dno piekła mimowolnie usłyszała strzępy rozmowy, które ją mocno zaintrygowały. Bezceremonialnie wsunęła się pomiędzy chłopców i nawet niespecjalnie ukrywając swoje podniecenie wyparowała:

- Źe, przepraszam bardzo, czym jesteś?

Spojrzeni po sobie najpierw w lekkim niedowierzaniu, aby po chwili analizy swojej sytuacji przywdziać szaty pełne arogancji. Jak kopiowani przez kalkę, lekko zniesmaczeni bezpardonowym dyshonorem jaki miał miejsce wdychali z cicha. Jeden tylko z nich, a był to adresat pytania, wyraźnie ukontentowany nieukrywanym urokiem zagadującej go niewiasty zdołał zdusić w sobie większość swej domniemanej wyższości.

- Wampirem. – Odrzekł uśmiechając się szeroko.

- W sensie pijesz krew?

- Mhm.

- Jak smakuje krew?

Tym razem grupa parsknęła śmiechem, znów jak na komendę. Abi powoli zaczynała uważać, że są połączeni wspólnym kablem. Mimo to, szacowny Wampir, który podjął się dialogu ze śmiertelniczką kontynuował, choć w głosie jego znać było lekkie poirytowanie.

- Pytasz jakbyś nie wiedziała, nie skaleczyłaś się nigdy w dziąsło? Ząb ci nie wypadł?

- Nie zrozumiałeś pytania. Jak smakuje krew?

- Się uparłaś, nie wierzysz mi?

Grupa zaczynała rozglądać się z niejakim zdenerwowaniem. Abi jednak, przywdziewając powierzchowność jak najśłodsza i miłą próbowała pokazać, że nie szuka zwady.

- Nie o to chodzi, po prostu ciekawa jestem jakie to uczucie....

- Błogie, to pokarm duszy.

-... jakie to uczucie, kiedy przegryzasz się przez kolejne warstwy tkanek, przebijas zębami tętnicę i rozszarpujesz jej mięsiste łożysko. Gorąca, krew uderza w twoje gardło. Napływa w rytmie pulsu regulowanego uszkodzeniem naczyń.

Abi z każdym słowem przybliżała się do Wampira. Koledzy zaczęli czmychać w popłochu, jednak ten jeden wybrany, zahipnotyzowany magiczną chwilą stał jakby nieco nieobecny. Usta dziewczyny, drgające delikatnie nieuchronnie zbliżały się do szyi młodzieńca.

-Jak to jest, powiedz mi, człowiek umiera w twoich rękach, strużki stygnącej posoki zasychają na twojej brodzie. Żelazisty posmak w ustach, ciepło rozchodzące się w trzewiach. Ofiara dygocząca konwulsyjnie, gasnąca...

- Ja... ja nie wiem... ja tylko raz...

- To ty zwykły frajer jesteś nie wampir!

– Abi skrzywiła się z niesmakiem, a chłopak ocknął jakby kto wylał na niego kubeł zimnej wody. – Dupa nie wampir, tyle powiem. To jakbym ja uważała się za wilkołaka bo mi kudły na głowie rosną, albo za rusałkę bo nie raz nago i bosko biegałam po łące. Do diabła! Chociaż nie, takiego czegoś się przy tobie nie powinno mówić. Na Thora! To bezczelność.

- Ale...

- Nie ma żadnego ale, milcz jak mówię. Zmyj ten durny makijaż, zetrnij kudły, ubierz się normalnie. Obyś był zimny albo gorący, nie ma niczego pomiędzy. A na lorda ciemności to wybaczone, nie masz zadatków. Chociażbyś rozsiadł się na kościanym tronie w piekielnej czeluści i otoczył wianuszkami sukubów to i tak będziesz żaloszny.

- Weź się zamknij, sama nie lepsza! Co, może mordowałaś ludzi? – Odwarknął w porę odzyskując rezon.

Abi nie odpowiedziała nic. Nie uśmiechnęła się jakoś inaczej niż zwykle. Nawet spojrzeniem nie udzieliła żadnej odpowiedzi. Ale było w niej coś takiego, co skłuło serce chłopaka lodowymi okowami. Oddalił się pospiesznie i Abi więcej go już nie zobaczyła.

3.

Kolejne niezwykłości czekały tuż za progiem. Pokój ten był chyba największym spośród wszystkich pomieszczeń ulokowanych na parterze. Kocioł kulturowy związany z pojemnością tejże przestrzeni, z której łatwo można wyprowadzić liniową zależność liczności ludzi, kipiał i bulgotał wesoło. Ktoś w rogu uparcie rznął w karty oszukując przy tym aż miło. Inni nieudolnie próbowali postawić sobie tarota, niektórzy wreszcie przy kieliszku czegoś mocniejszego i potrawie o bliżej nieokreślonej nazwie debatowali nad losami świata. Pod oknem natomiast stała młoda dziewczyna, otoczona przez wianuszek zauroczonych słuchaczy. Śpiewała, choć ten czasownik nie oddaje w pełni natury rozkoszy, która wypływając z jej ust zalewała wszystkich zebranych. Była cicha i skromna, ledwie słyszalna; o buzi porcelanowej laleczki, tak niepoprawnie słodkiej i dziecinnej. Jeżeli chóry anielskie istniały, mogły się od niej wiele nauczyć.

Abi podeszła bliżej, zachwycona nowym znaleziskiem. Zanim jednak dotarła do kresu swej krótkiej wędrówki dziewczyna przestała śpiewać i skłoniwszy się delikatnie wpatrywała się skrępowana w podłogę. Oklaski rozbrzmiewały nierównomiernie, urywanie tak jakby ludzie wciąż pogrążeni w szoku bali się zmącić niezwykłość tej chwili. Szybko jednak owacje przybrały na sile a biedna dziewczyna przybrała kolor dojrzałej maliny. Starła się za wszelką cenę na ten krótki moment osiąść dar niewidzialności.

Wybawienie z opresji przyszło nadspodziewanie szybko. Z tłumu wystąpiła osóbką o aparycji równie zachwycającej, rzekłbyś – bliźniaczka śpiewającego cudu. Podeszła i delikatnie zadarłszy jej głowę ucałowała ją w policzek. Anioł rozpromienił się, a w jego oczętach zaiskrzyły drobne, srebrzyste perły. Dziewczyny odeszły nie odpuszczając się na krok, dłoń w dłoni. Abi widziała jeszcze, jak w oddali rozmawiają ze sobą używając języka migowego. Tak to już jest, bliźniacze dusze są rzadkim darem a tak cudowne cielesne powłoki muszą skrywać jakieś niewidoczne gołym okiem defekty. Natura nie lubi wyjątkowości. Abi uśmiechała się delikatnie, wciąż nie mogąc pozbyć się wrażenia, że już gdzieś widziała te dziewczyny.

Ludzie nie hamowali zachwyty. Odchodzili trójkami, lub też parami żywo dyskutując. Przy oknie pozostała jedna dwójka – chłopak o delikatnych rysach i spokojnym, mądrym spojrzeniu oraz niewysoka niewiasta, niewyróżniająca się niczym szczególnym. Oni dla odmiany milczeli, wychwytyjąc tylko pojedyncze słowa ogólnego zachwyty. Za każdym razem kiedy ktoś krzyknął „anioł” krzywili się w kpiącym uśmiechu. Na Abi nie zwracali szczególnej uwagi.

- Anioł, co? – spytała dziewczyna komicznie marszcząc nos.

- Tak, zdecydowanie. Przecież ją widziałas, w jej aurze nie ma niczego niezwykłego.

- Ludzie nigdy nie zmagają się.

Abi przysłuchiwała się coraz uważniej. Najwyraźniej wprost z Wampirowa trafiła do Zakładu Walidacji Aniołów, Heaven Street 7/12. Wiedziała kim, a raczej czym chcieliby być ci dwoje, jednak wołała nie zdradzać się zbyt szybko ze swą domniemaną mądrością.

- My, upadłe anioły, znamy prawdę.

Bingo! Bezskrzydłe istoty zunifikowanej energii, służący nigdy niesprecyzowanej mocy. Wiele było opinii o upadłych aniołach, zależnie od sekty wyznającej ich istnienie, czy też raczej możliwości projekcji tudzież inkarnacji tychże w istotach śmiertelnych. Wszystkie jednak wykastrowane nieloty łączyło wspólne przekonanie o misji, pochodzeniu nie z tego świata i potędze rządzącej wszystkim miłości. Abi, wprawdzie czując niejaki déjà vu, zapytała:

-Jesteście aniołami?

Obrócili się równo, podobnie przekrzywiając głowy w umownym, niemym znaku zapytania. Spojrzeli po sobie i dopiero teraz Abi dostrzegła nienaturalną symetrię ich reakcji. Tak jakby połączeni byli wspólnymi kajdanami, albo co gorsza wymagowanym mostem dusz.

- Tak. W poprzednim wcieleniu byliśmy aniołami – kiedy zaczęli mówić, robili to równo. Dziwaczne wrażenie. Ludzie przeważnie reagują na takie sytuacje obronnym śmiechem jednak oni przyzwyczajeni najwyraźniej do swego towarzystwa po prostu dopowiadali po zdaniu – Kiedyś siedzieliśmy na łące i patrzyliśmy w gwiazdy... Wtedy zrozumieliśmy, że tam żyją nasi bracia... A my jesteśmy projekcją ich astralnego ja... Służymy miłości. Nasze aury są silne... Istoty, którymi byliśmy żyją między gwiazdami, tak jak powiedziałaś – są to Anioły... Ale nie mamy skrzydeł... Nie jesteśmy Aniołami w rozumieniu żadnej religii. Pradawne istoty, nasi przodkowie, oni są źródłem miłości... A miłość jest jedyną mocą zdolną zneutralizować cierpienie... Miłość jest falą o wysokiej częstotliwości.

- Hej, hej! Nie bawmy się w fizykę. – Abi przerwała dość niegrzecznie, ale wołała nie wybuchnąć śmiechem w obecności niebiańskich istot. Spojrzeli znów utrzymując swoją pokręconą, czworooczną symetrię. – Źle rozumiałam waszą upadłość. Myślałam, że jesteście demonami...

- Służymy miłości! – tym razem to oni przerwali, ale w ich głosie nie było oburzenia, jedynie dobrotliwą cierpliwość. – Rozumiemy cię, śmiertelniku. Nie każdy wie o naszym istnieniu. A ty? Ty nie jesteś magiczna. W twojej aurze nie znajdujemy niczego szczególnego... Zwykła dziewczyna... Nawet nie jednorożec... Ani elf...

Abi bardzo chciała wtrącić, że to zauważyła czesząc się co rano, bo ani rogu na czole ani grzywy nie posiadała. Tak samo zresztą kopyt, sterczących uszu, czy też żadnego innego atrybutu przynależności do królestwa nieludzi rzeczywistych lub też urojonych. Stwierdziła jednak, że dość już wrogów narobiła sobie tego wieczoru.

- Możemy sprawdzić kim byłaś w poprzednim wcieleniu... To tylko hipnoza...

Abi pokręciła głową z zapalem, zrobiła szybki zwrot w tył i nie spiesząc się zbyt przesadnie oddaliła się w kierunku schodów. Przechodząc obok stołu porwała ze sobą do połowy pełną butelkę, co spotkało się z niezadowolaniem biesiadujących tam filozofów. Kiedy jej stopa pogładziła pierwszy schodek dno butelki schło już smutne i samotne. Odbiór rzeczywistości wymagał użycia radykalnego filtra.

4.

Piętro można by było spokojnie nazwać Sypialnią Świątynią Rozpasania. Ludzie jak zwykle nie zważając na zdrowy rozsądek i ostrzeżenia minionych pokoleń łączyli trzy najgorsze używki tego świata: alkohol, drugiego człowieka i świeżą pościel. Sądząc po wszędobylskich chichotach alternatywna i jakże aktywna forma spędzania czasu ledwo się rozpoczęła i miała więcej z dziecinnej gonitwy za dorosłością, pseudo poważnego berka niż z zabaw do jakich przywykła Abi. Trochę ją to zasmuciło. Liczyła na odrobinę niepoprawności.

Swoje wybawienie znalazła na końcu korytarza, stojące w roli zdecydowanie wartowniczej. Nie wiedziała na co czekał ten niebrydki chłopaczek, ale była pewna, że jego misja właśnie dobiegła końca. Oto nadchodziła ona, jedyny i niepowtarzalny twór, który wymagał zainteresowania.

Wszystko rozegrało się dość szybko. Zgrabnie wyminęła parkę, lądującą na podłodze wskutek zbyt mocnego oparcia się o drzwi i rozpoczęła świadomie samonapędzającą się kaskadę zdarzeń. Było w niej coś niepokojąco intrygującego. Każdy jej ruch, spojrzenie, zmuszały do dość powierzchownych refleksji. Nie potrzeba było wiele słów. Chłopak rozumiał w lot.

Drewniane skrzydło trzasnęło o framugę. Ich dialog był pełen pasji, chociaż niemy. Coraz lżejsi i bliżsi rajskiemu ideałowi niespiesznie wymieniali niezbędne informacje. W roztargnieniu ukrzywdzili wazon, strącając go łokciem oraz krzesło, które krzyczało stukotem protestu przeciw upadaniu.

Byli błyskotliwi i pojętni, nie zarzucali się niepotrzebnymi łańcuchami tautologii. Mimo to nie można było odmówić ich rozmowie uroku i wyszukania. Przepastny zbiór tematów stwarzał ich dialog niemal nieograniczonym. Szybko zadbali o własną wygodę. Przyjęli optymalne ułożenie, wybrane oczywiście pospołu, uzgodnione bez żadnej wyartykułowanej sylaby. Sprężyny zaskrzypiały miło. Gdyby wszyscy ludzie byli tak skorzy do współpracy, świat byłby ciekawszym miejscem.

Słowa stawały się coraz bardziej celne, epitety ograniczali do niezbędnego minimum tak aby w niezmaconym uderzeniu czystego przekazu zawrzeć cząstkę mile łechcącej ucho poezji. Rozmowa, chociażby najbardziej banalna i nieistotna nigdy nie powinna być sprowadzona do rzemieślniczej wymiany zdań. Operowanie językiem jest sztuką i darem.

Dyskurs nabierał tempa i kolorów. Byli dobrymi mówcami, biegłymi w podjętym temacie i oddanymi swej roli. Nawet jeżeli pojawiały się między nimi drobne różnice, korygowali je i nie dopuszczali do powstawania żadnych sprzeczek. Mówili wspólnym głosem o pięknej sprawie.

Nie dane im było jednak rozwinąć swojej wypowiedzi w sposób który przewidzieli. Chłopak przypomniał sobie o istocie, na którą czekał nie tak dawno, a o której istnieniu gotów był już zapomnieć. Może dlatego, że właśnie stanęła w drzwiach nieco rozdygotana? Rozmowa utknęła w martwym punkcie, chłopak wolał gnać za uciekającymi z płaczem i miotającymi przekleństwa marzeniami niż dotrzymać towarzystwa nowo poznanej przyjaciółce.

Abi uśmiechnęta szeroko, choć nieco niepokieszona powolutku zebrała swój ekwipunek. To nie był zbyt udany dzień. Drzwi tym razem nie trzasnęły, zamknęły się cicho a pokój, wciąż wibrujący ich słowami pozostał pusty i samotny.

Odnalazłszy nowe zamiłowanie, to jest eksplorację szalonych domów, Abi znów skierowała się ku schodom. Powitały one radośnie swoją starą znajomą i wskazały jej drogę do nieba.

5.

Strych dla odmiany był cichy i spokojny. Mimo to w głowie Abi wciąż szumiało i chociaż była w stanie przerwać to uciążliwe uczucie jednym skinieniem dłoni, wolała pozostać w bezpiecznej narkozie. Na środku zakurzonego pomieszczenia stał ołtarz, lub też coś co w głowach młodzieży zebranej przed nim za ołtarz miało uchodzić. Nie zauważyli jej przybycia, bezszelestnie przysunęła się nieco bliżej.

Siedzieli w półkolu, nieliczne świece oświetlały ich skupione oblicza. Przed nimi wpisany w pentagram stał kamienny posążek, niewysoki i pomazany w strategicznych miejscach krwią. Wyobrażał on hybrydę człowieka z kozłem. Coś co dawne kulty czciły jako bożka płodności, a nowe zwykły demonizować i nazywać panem ciemności. Siedzącym tu ludziom zdecydowanie pasowała wersja młodsza, ideologicznie bliższa gotykowi.

Zebrani podjęli pieśń. Abi nie potrafiła rozpoznać języka, chociaż szczyciła się biegłością w wielu ludzkich narzeczach. Prawdopodobnie były to jakieś magiczne intonacje, zmyślane na poczekaniu. Po chwili przeszli jednak na język wspólny dla wszystkich cywilizowanych krajów, to jest łacinę. Teraz można było wyłapać chociażby pojedyncze słowa, które i tak mimo szczyrych chęci interpretatorki nie dały się ułożyć w logiczną całość.

Abi nie mogła powstrzymać uśmiechu. Starła się wprawdzie tłumić chichot rodzący się w jej wnętrzu, jednak delikatne parsknięcie wyrwało się z niej, jak wściekły pies zrywający się z łańcucha.

Obrócili się niemal równocześnie. Ich oblicza, początkowo przekreślone mieszanką zdenerwowania przybrały wyraz dość pogodny. Oczywiście było mu bliżej do wschodu słońca nad polem bitwy usłanym trupami niż do radosnej sielankowej scenerii, jednak zdawali się być uradowani. A kogo spodziewali się spotkać, diabła? Upadłego anioła? Kolejnego wampira? Inne ucieleśnienie mroku?

Oto stało przed nimi dziewczę, dość niepewnie chwiejące się na swych nieprzyzwoicie zgrabnych nóżkach. Chichotało wesoło, choć trzeba szczerze przyznać, że nieco głupkowato. Na głowie nie miało wieńca gwiazdowego, tym bardziej żadnych imion bluźnierczych, chociaż rude, niepokorne kosmyki przykrywały większą część czoła. Ubrana była nie w złoto i purpurę, nie w perły i drogocenne kamienie a jedynie skromny dżins i bawełnę, o odcieniu bliżej nieokreślonej czerni.

Najwyraźniej zwiastun apokalipsy miał dziś urlop.

Spostrzegła księgę, obleczoną w skórę, którą dzierżył siedzący pośrodku półkółgu. Niezgrabnie, choć z niemałym wdziękiem postąpiła o dwa kroki i wyciągnęła rękę w jego kierunku. Wolumin okazał się zbyt ciężki, więc klapnęła o podłogę z delikatnym stęknieniem. Z zaciekawieniem przerzuciła kilka pierwszych kartek.

Ktoś położył ręce na jej ramionach. Poczowała nieprzyjemny chłód spływający w dół pleców, drobne włoski na karku zjeżyły się niepokornie. Nawet nie drgnęła. Lektura książki wciągnęła ją i zahipnotyzowała. Słowa w niej zawarte nie były bluźniercze, ale w swej zapomnianej, starożytnej mądrości miały zadre obrazoburczego poznania. Nie było w niej odpowiedzi na pradawne pytania, nie było życzeń śmierci. Czarna Biblia była dziełem dość pokornym.

Żałowała, że nikt poza nią nie rozumie zapisanych w niej zdań. Nie była tu istotna bariera językowa, oni wpatrywali się jedynie w mroczne i ponure ilustracje, nie potrafili przejrzeć treści, dojrzeć zachęty do osiągnięcia nadludzkiej doskonałości. Mogli być bluźnierczymi bogami, woleli być małymi, zabłąkanymi dziećmi kroczącymi po ścieżce śmiesznego buntu i niegroźnej maskarady. Poczowała się bezpiecznie. Nie miała zostać ofiarą, ludzie tu zebrani nie potrafiliby skrzywdzić muchy. Byli słabi.

Abi rozejrzała się wokoło z nieukrywaną dezaprobatą. Wyrwała się z nieprzyjemnego uścisku jednym, szybkim ruchem i zanosząc się śmiechem cisnęła książkę w ogień świecy. Suchy papier zajął się opornie. Zebrani zapewne zdążą go ugasić, uratować większość swojego marnego dziedzictwa, lecz Abi nie czekała aby to sprawdzić. Ta czarna msza skończyła się w piekielnym ogniu.

Abi wciąż się śmiejąc zbiegła po schodach i dopadła drzwi.

6.

Znalazła go w ogrodzie. Charakterystyczna, niezbyt atletycznie zbudowana sylwetka wynurzała się z zimnej, oblepiającej jej nagie ramiona czerni. Nie mogła go nie zauważyć. Cały wieczór spędziła na intensywnych poszukiwaniach i choć nigdy nie odważyłaby się przyznać do tych niecnych łowów, w końcu dopadła swą ofiarę.

Tak było zawsze – wędrowali różnymi ścieżkami aby w końcu spotkać się na mecie.

Długowłosy brunet, leżał na wznak pośród koszmarnie zaniedbanych klombów. Splecione dłonie trzymał pod głową a swe zielonkawe oczy skierował ku gwiazdom.

Abigail podeszła bliżej i wzięwszy się pod boki schyliła tak, aby przesłonić mu większość nieboskłonu.

- Och Di! Jakież to pięknie dekadencje! – prychnęła z rozbawieniem. – Może jeszcze zapłaczesz rzewnie?

Nie odpowiedział na słowną zaczepkę, jak gdyby przywykły do gorszych epitetów kierowanych pod jego adresem. Jedynie podniósł się do siadu i sugestywnie poklepał dłonią wolny kawałek trawy po swojej prawicy.

- Nadeszły trudne czasy – odparł smutno, acz z najszczerzego serca. – Odkąd głupota stała się najważniejszym z grzechów ludzkich, nie mogę znaleźć sobie miejsca.

- Ciągłe to samo... Pieprzycie bez sensu, obywatelu! A tam? – rzuciła wskazując palcem dom, wciąż rozbrzmiewający pomrukami nocnego życia. – Wszak tam mroczno, lubieżnie! Na pewno byś się wkomponował.

Di zaśmiał się, a dźwięk jego głosu tak dziwnie przerażający zafalował echem i odbity od pobliskiego lasu powrócił, siejąc popłoch wśród drobnych zwierząt. Di nigdy nie podjął ryzyka kariery wokalne, chociaż nie jeden mu to proponował. Nie potrzebował rozgłosu.

- Przecież to powinien być ocean dla ławicy nam pokrewnych.

- Cóż, najwyraźniej wybraliśmy niestosowny akwen. Starzejemy się, kochana...

Siedzieli jeszcze przez chwilę, wysłuchując cierpliwie niekończącego się koncertu anonimowych świerszczy. Abi, wpatrzona w mrok i dziwnie rozmarzona, Di, w zamyśleniu rzucający na okoliczne kwiaty garści szarego pyłu, jakby nie zauważali swej obecności.

- Teraz będziesz siedział i jak głupi zarzucał te biedne roślinki bryłami ziemi? – spytała, nawet nie patrząc w jego stronę.

- To popiół, moja miła, to tylko popiół...

Myśli ich rozbiegane błądziły i nijak nie potrafiły znaleźć wspólnego mianownika. Ona ze śmiechem wracała ku jesiennemu deszczowi, on ku nieopacznie podarowanemu jabłku.

Eony rozmywały się nad ich wiekuistym trwaniem.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Rodion, dodano 08.09.2012 09:55

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.